

Zdzisław Sadowski

druk. Przegląd 03.04.2017

O demokracji ułomnej

Czy w Polsce mamy jeszcze demokrację? Jeżeli ten termin traktujemy poważnie, a więc przez demokrację rozumiemy ustrój oparty na trójpodziale władzy i pełnym poszanowaniu praw obywatelskich (a zatem i praw mniejszości), to nie ma wątpliwości, że już od ponad roku doświadczamy świadomego łamania tych zasad ustrojowych przez rząd, wyłoniony przez partię o zwodniczej nazwie „Prawo i Sprawiedliwość”, która objęła władzę w roku 2015 w wyniku demokratycznych wyborów.

Demokracja jako koncepcja ustrojowa to wyraz ogólnoludzkiego dorobku wielu wieków rozwoju kultury i zasad współżycia, opartych na szacunku dla prawa. Koncepcja ta legła u podstaw Unii Europejskiej, a aktem przystąpienia do Unii Polska zobowiązała się do jej stosowania i przestrzegania.

Dlaczego więc obecny rząd polski prowadzi taką destrukcyjną działalność? Nie robi tego przecież dla zabawy, lecz bardzo świadomie przystąpił do usuwania podstaw ustroju demokratycznego, przyjętego przez Polskę po obaleniu długich rządów partii komunistycznej i określonego przez Konstytucję z 1997 roku. Chce bowiem wprowadzić ustrój autorytarny, w którym decyzje należą do władzy wykonawczej, wyłonionej przez rządzącą partię.

Ułatwieniem jest to, że partia ta zdobyła urząd prezydencki i bezwzględną większość parlamentarną, co pozwala uchwalić bez trudu każdą ustawę. Mimo to nie jest łatwo zmienić system instytucjonalny, osadzony w ustroju demokratycznym. Na drodze prawnej nie można zmienić konstytucji. Dlatego po zwycięskich wyborach nowa władza rządząca partia przystąpiła natychmiast do walki o to, aby władzę sądowniczą podporządkować rządowi. To właśnie się dzieje. Najpierw, przez łamanie konstytucji i dobrych obyczajów, nastąpiło ubezwłasnowolnienie Trybunału Konstytucyjnego. Teraz trwa walka o odebranie znaczenia Krajowej Radzie Sądownictwa.

Partia rządząca zmienia ustrój, nie licząc się ze zdaniem tej części społeczeństwa, która tego nie chce. Jaka to część? Tego nikt nie wie. Wydaje się, że w sensie hasłowym demokracja ma w Polsce sporo zwolenników. co uwidacznia się w manifestacjach ulicznych i różnych

wystąpieniach. Dla tych ludzi łamanie zasad demokracji nie tylko jest bardzo przykre i bolesne, ale stwarza poczucie zagrożenia utratą wolności.

Jest jednak wiele osób, które nie mają nic przeciwko temu, co czyni władza, a nawet im się to podoba. Przewaga systemu autorytarnego nad demokracją w oczach wielu polega przecież na sprawności działania. Demokracja traci czas na spory, dyskusje i debaty, a ludziom od tego nic się nie poprawia. Dobrze więc, że przychodzi ktoś, kto wie czego chce, szybko wprowadza porządek i żadnych decyzji nie odkłada.

Zdawałoby się, że temu komuś nic by nie szkodziło zapraszanie opozycji do dyskusji, a nawet przyjmowanie jakichś propozycji choćby dla tworzenia atmosfery współpracy. Ale to w demokracji dba się o prawa mniejszości. W ustrojach autorytarnych nie przyznaje się jej żadnych uprawnień. Rządząca obecnie partia uważa zwolenników demokracji za wrogów, bo tylko przeszkadzają każdym swoim ruchem i słowem. Nie może być mowy o zgodnym, wspólnym budowaniu przyszłości.

Kiedy wybory roku 2005 oddały po raz pierwszy władzę partii „Prawo i Sprawiedliwość”, wystąpiła ona z gotowym programem, który otwarcie zapowiadał wprowadzenie w Polsce systemu autorytarnego pod nazwą IV Rzeczypospolitej. Wzmacniało go hasło solidarności społecznej, co tak zmyliło niektórych komentatorów, że dopatrzyli się w nim lewicowości. W swojej ówczesnej publicystyce oceniałem ten program bardzo krytycznie. Solidaryzm to piękna idea, stawiająca dobro publiczne na czele dążeń społecznych. Nie ma jednak sposobu realizowania idei solidarnego dążenia do dobra wspólnego bez sprawnego organizatora, który określa sposób pojmowania tego dobra i umie zapewnić ogólne współdziałanie. Stąd krok do władzy autorytarnej, środków przymusu i ograniczania praw obywatelskich, które są naczelną troską liberalnej demokracji. Więc w Sejmie ogranicza się do minimum prawo opozycji do stawiania pytań i zgłaszania wniosków. Więc narodowi narzuca się bez dyskusji gotowy projekt rewolucji w systemie oświaty. Więc nocą i w maksymalnym pośpiechu przyjmuje się sekwencję ustaw i uchwał skutecznie obezwładniających Trybunał Konstytucyjny. Nawet o wycinaniu drzew decyduje władza bez dyskusji.

Rząd obecny wszedł tym razem znacznie mocniej niż w poprzednim okresie swojej władzy na drogę narzucania społeczeństwu swoich rozwiązań bez próby porozumienia, czyli metodą „na rympał”. Drażni ludzi swoją arogancją także w sprawach personalnych, gdy na intratne stanowiska powołuje osoby zupełnie niekompetentne, a tylko oddane partii. Mamy więc

sytuację, która wielu z nas zdecydowanie nie odpowiada. Ale póki mamy wolne wybory, póki w parlamencie mamy opozycję, póki mamy niezawisłe sądy i wolną prasę, a także póki komisja dyscyplinarna uwalnia nauczycielki od kary za przyście do szkoły w czarnych sukienkach i przyłączenie się w ten sposób do „czarnego protestu” polskich kobiet, póty mamy jeszcze jakąś demokrację i możemy jej bronić.

Ale jest to demokracja ułomna, której grozi stopniowe powiększanie się stopnia ułomności.

+

Swego rodzaju pociechą może być to, że nie jesteśmy w tym odosobnieni. Ukazała się najnowsza ocena poziomu demokracji w 167 krajach świata. Ocen takich dokonuje corocznie specjalny zespół londyńskiego tygodnika The Economist. Wyodrębnia się tam cztery typy ustrojów: od najwyższej punktowanej pełnej demokracji przez demokrację wadliwą (flawed democracy, którą tu nazwałem demokracją ułomną), do niższych kategorii: ustrojów hybrydowych i reżimów autorytarnych. Wszystkie kraje są oceniane na podstawie pięciu cech, którymi są: charakter procesów wyborczych, sposób działania rządu, uczestnictwo polityczne, kultura polityczna, swobody obywatelskie.

Otóż okazuje się, że status pełnej demokracji osiąga z roku na rok coraz mniej krajów. Tym razem uzyskało go zaledwie 19, z czego 14 to kraje zachodnioeuropejskie (bez Francji i Włoch, które już wcześniej straciły tę pozycję). Na czele są oczywiście wszystkie kraje skandynawskie z Norwegią jako liderem. Są to kraje w znacznej mierze o obliczu socjaldemokratycznym, co nie jest dziwne, gdyż socjaldemokracja od dawna jest podporą ustroju demokracji liberalnej (czego niestety nie zdążyła zauważyć polska lewica).

Natomiast liczna, ale silnie zróżnicowana jest grupa 57 krajów o demokracji ułomnej. Tu na czele, obok specjalnej ustrojowo Japonii, znalazły się USA, które spadły z wyższej kategorii w wyniku wyborów prezydenckich. Polska jest w tej grupie od początku analiz, ale była wyraźnie wyżej, a teraz spada i znalazła się na dość dalekim 33 miejscu. Prawie wszystkie kraje członkowskie Unii Europejskiej z wyjątkiem Węgier, Rumunii i Chorwacji znajdują się w tym rankingu wyżej od nas, a wśród nich uderza stosunkowo wysoka pozycja wszystkich trzech najbliższych nam krajów bałtyckich.

Polska została więc oceniona jako mocno już dotknięta pogarszaniem się stanu demokracji i tendencją do oddalania się od statusu państwa prawdziwie demokratycznego. Nie może to dziwić wobec natury działań układu rządzącego, ocenianych negatywnie – choć na razie wciąż

w tonie przyjaznej krytyki – przez właściwe organy Unii Europejskiej. Dziwić może jedynie to, że nasz układ rządzący tak lekceważy sprawdzoną już przecież podporę pozycji i rozwoju Polski, jaką jest Unia Europejska.

Na razie jednak jesteśmy jeszcze zaliczani do krajów demokratycznych, choć o demokracji ułomnej. Trzeba zwrócić uwagę na to, że - z pięciu wskaźników składających się na omawianą tu ocenę Polski - najniższy przyznany został poziomowi kultury politycznej. W pierwszej chwili to boli. Ale kiedy się zastanowić...

Po pierwsze, nawet ktoś, kto popiera działania układu rządzącego, nie może przyznać wysokiego standardu kultury politycznej łamaniu konstytucji przez prezydenta i większość parlamentarną. Po drugie, Polska nie ma tradycji demokratycznej. Nie tworzyła jej przecież tak zwana demokracja szlachecka, nie mogła się wytwarzać pod rozbiorami, próba jej tworzenia w drugiej Rzeczypospolitej została skutecznie zdławiona przez zamach majowy Piłsudskiego i rządy sanacji, potem przyszła straszliwa noc hitlerowskiej okupacji niemieckiej, a następnie życzliwi sprzymierzeńcy oddali nas pod opiekę totalitarnego ZSRR. Wprawdzie wśród zmagających z sowieckim nadzorem udawało się stopniowo czynić PRL krajem coraz bardziej samodzielnym, ale pozostał do swego końca reżimem autorytarnym o ograniczonych prawach obywatelskich. Liberalna demokracja zaczęła się rodzić po roku 1990 w „Trzeciej Rzeczypospolitej” i uzyskała silne wsparcie, gdy Polska przystąpiła do Unii Europejskiej. Podpisanie traktatu z Unią pozwoliło sądzić, że weszliśmy nareszcie na drogę zbliżenia do utrwalonych, demokratycznych tradycji zachodnioeuropejskich. Ale zaraz nastąpił pierwszy akt rządów „Prawa i Sprawiedliwości” z programem IV Rzeczypospolitej, a po kilku latach oddechu ta sama partia uzyskała pełniejszą władzę i przystąpiła do aktywnej walki z liberalną demokracją.

Teraz więc mamy jeszcze jakieś formy demokracji, ale jest to demokracja niepełna, ułomna, i z perspektywą na zanikanie. Nie ulega jednak wątpliwości, że sami wybraliśmy władzę, która nas tak traktuje. Wprawdzie w wyborach 2015 roku głosy na „Prawo i Sprawiedliwość” oddało tylko 17% uprawnionych do głosowania, ale to wystarczyło do zdobycia większości parlamentarnej. Nie wzięcie udziału w wyborach jest też formą głosowania.

+

Nie wiemy, jak wielu rodaków naprawdę pociąga wizja autorytarnej dyktatury. Ale można podjąć próbę określenia, jaka część społeczeństwa popiera obecne rządy. Ogłoszony przez CBOS sondaż opinii z połowy lutego 2017 roku przedstawia ciekawy podział społeczeństwa na trzy

grupy. Pierwsza uznaje sytuację polityczną za dobrą. Ta liczy 19% respondentów. Druga uważa tę sytuację za złą. Tak sądzi 43% osób. Trzecia to ci, którzy wybrali odpowiedź, że sytuacja jest „ani dobra, ani zła”, czyli nie chcieli się wychylić. To obojętni, których liczebność to 32%.

Na tej podstawie można przyjąć, że znaczna część społeczeństwa negatywnie ocenia zamiary i działania rządzącej partii. W jakiejś części można im przypisać pozycję zwolenników prawdziwej demokracji. Jest ich dużo, co daje możliwość występowania ze skutecznymi niekiedy akcjami protestacyjnymi. Ale nie jest to większość.

Otwartych zwolenników działań rządzącej partii jest stosunkowo mało, ale jest to grupa zwarta wokół programu budowania systemu autorytarnego. Grupę tę zasilają ci, którzy bezpośrednio korzystają z licznych nowo obsadzanych dobrych stanowisk, z podwyżek wynagrodzeń, czy z nieprzestrzegania wymagań kwalifikacyjnych. Dzięki takim działaniom, na które jest jeszcze sporo miejsca, liczebność tej grupy może rosnąć.

A „obojętni”? Nie są to zwolennicy demokracji, gdyż ci nie mieliby powodu nie przyznawać się do tego, że obecną sytuację polityczną uważają za złą. Są to więc po części ludzie, którzy naprawdę nie mają zdania, bo temat ich nie interesuje, a także ci, których cieszą takie posunięcia rządu, jak program 500+ czy obniżenie wieku emerytalnego, ale nie cieszy ich arogancja władzy, więc nie czują się zdatni do ogólnej oceny sytuacji. Podejrzewam, że korzyści materialne mogą przeważać, więc prawdopodobnie są w tej grupie liczni kandydaci do otwartego popierania działań i programu „Prawa i Sprawiedliwości”.

Z tych porównań wynika, że prawdopodobnie obóz rzeczywistych i potencjalnych zwolenników rządzącej partii jest obecnie w Polsce liczebnie silniejszy niż obóz zwolenników prawdziwej demokracji. Jak to wytłumaczyć? Zacząć trzeba od doświadczenia transformacji systemowej, rozpoczętej przez powszechnie wówczas upragnioną reformę Balcerowicza. Niewątpliwy sukces transformacji polegał na szybkim przywróceniu systemu kapitalistycznej gospodarki rynkowej. Sukces ten jednak został osiągnięty pod sztandarami doktryny neoliberalnej, która głosi chwałę wolnego rynku, zupełnie lekceważąc znaczenie społecznych kosztów przemian. Te zaś były bardzo poważne. W kraju wytworzył się bardzo wyraźny podział ludności na beneficjentów przemiany, którym powodziło się dobrze, a niektórzy nawet zdołali szybko zgromadzić niezłe fortuny, oraz znaczną część społeczeństwa, która nie tylko nie odczuła żadnej poprawy losu, lecz musiała znosić skutki masowego bezrobocia, wielkiego obszaru biedy i potężnie narastających nierówności społecznych. W Polsce roku 2005, gdy „Prawo i Sprawiedliwość” po raz pierwszy tworzyła rząd, połowa ludności żyła na poziomie minimum socjalnego, a około 3 milionów ludzi

zdecydowanie poniżej tego minimum czyli w skrajnej biedzie. Mieliśmy więc wielką masę ludzi pokrzywdzonych przez historię i boleśnie odczuwających swoją krzywdę.

Program „Prawa i Sprawiedliwości”, mógł dla wielu z tych ludzi przedstawiać się jako bardzo pociągający, zwłaszcza że wprowadzono do niego dobrze brzmiące zapowiedzi szybkiej poprawy warunków życia (budowa 3 milionów mieszkań). Został też silnie wsparty przez Kościół katolicki, któremu odpowiadało hasło solidarności społecznej, przeciwstawione liberalnej demokracji. Mało kto przecież wie, że antyspołeczna doktryna neoliberalna to coś całkiem innego niż liberalna demokracja, dla której troski socjalne są sprawą zasadniczą.

Pierwsze rządy „Prawa i Sprawiedliwości”, okazały się krótkotrwałe. ale było to wynikiem nie tyle spadku poparcia dla tej partii, ile trudności utrzymania sztucznej koalicji rządzącej. Być może też wyborcy zniechęcili się nie tyle do koncepcji ustrojowej, ile do sposobu działania trzech koalicjantów, który polegał na narzucaniu społeczeństwu wątpliwych rozwiązań bez troski o porozumienie. Już po dwóch latach i nowych wyborach kraj wrócił na ścieżkę liberalnej demokracji. Zdawało się że trwale.

Jednakże w 8 lat później w demokratycznych wyborach naród znowu powierzył rządy partii „Prawo i Sprawiedliwość”, tym razem dając jej samodzielną władzę. Dlaczego? Po kilku latach sposób działania tej partii został widać zapomniany. Pomogło być może to, że tym razem w kampanii wyborczej zwycięska partia w ogóle nie mówiła o swoim programie, lecz go ukryła, skupiając uwagę na obietnicach poprawy materialnych warunków życia.

Co jednak najważniejsze, warunki społeczne nie bardzo się zmieniły. Co prawda trochę zmniejszył się obszar biedy, zmniejszyło się bezrobocie, a kraj miał za sobą niebywały sukces, bo przez wszystkie lata wielkiego światowego kryzysu, który wybuchł w roku 2007, jako jedyny w Europie zdołał uniknąć recesji i utrzymać nieprzerwany wzrost gospodarczy. Jednakże nie zniknęła masa ludzi pokrzywdzonych, dla których ten sukces niewiele znaczył, bo jego korzyści do nich nie docierały. Trudno więc się dziwić, że to samo dążenie do budowy ustroju autorytarnego, wciąż niesłabnąco popierane przez Kościół, znowu przemówiło do niemałej części społeczeństwa. Zwłaszcza, że tym razem zostało poparte kilkoma bardzo wyrazistymi obietnicami szybkiej poprawy losu, z których jedna – tzw. Program 500+ - została rzeczywiście szybko wprowadzona w życie, korzystnie zmieniając położenie licznych ubogich rodzin, zwłaszcza wielodzietnych.

Dzisiejsza sytuacja polityczna Polski nie pozwala więc jeszcze na poważną ocenę kierunku jej rozwoju w perspektywie najbliższych paru lat. „Prawo i Sprawiedliwość” z pewnością nie zrezygnuje ze swego programu, więc wiele zależy od tego, na ile będzie się trzymał przyjętego agresywnego stylu działania. Można jednak sądzić, że go nie zmieni, licząc na neutralizowanie wrażenia niebywalej arogancji władzy przez efekty poprawy materialnej gorzej sytuowanej części społeczeństwa oraz skuteczne oddziaływanie propagandy prowadzonej przez liczne życzliwe media z telewizją publiczną na czele.

Ostatecznie więc należy sądzić, że jeszcze przez jakiś czas będzie się pogłębiał nasz status demokracji ułomnej, a tempo tego procesu będzie zależało w znacznym stopniu od kształtowania się ogólnej sytuacji ekonomicznej kraju i związanych z nią możliwości finansowych rządu. Ale to już osobny temat.